

## **Odnalezione, zapisane**

Do urzędowego blankietu („kwestionariusz osobowy”) dopięta była zwykła fotografia formatu legitymacyjnego. Spokojny, stosunkowo młody człowiek o charakterystycznej fizjonomii patrzył z niej z pewnym smutkiem, ale bez cienia obawy czy roztargnienia. Ostatnie miejsce pracy – Ośrodek Kultury w podwarszawskiej Podkowie Leśnej. Miał spory dorobek, jeśli chodzi o aktywność literacką i teatralną, ale bez doświadczenia akademickiego. Wyróżniał się wśród ludzi podejmujących pracę na warszawskich Białanach... We dwóch prowadziliśmy na UKSW nowo powstałą polonistykę przez pierwsze pięć lat, od 1999 roku. Pewnie uczyliśmy się wówczas od siebie nawzajem różnych rzeczy, dla mnie najciekawsze było odkrywanie ludzi i środowisk, o których nie wiedziałem i których nie pamiętałem, choć przeszło osiem lat mojego dzieciństwa upłynęło w tej samej okolicy. Państwo Mitznerowie mieszkali wówczas w Komorowie, moi Rodzice – w niedalekim Milanówku – i musieliśmy się kiedyś widzieć, nie wiedząc o tym.

Nie potrafiłem rozmawiać z Piotrem (i chyba nadal nie potrafię) – nie umiałem znaleźć wspólnego języka, wyciągnąć od Niego tego wszystkiego, co wie, skłonić Go do dłuższej rozmowy, wymiany myśli. Może za słabo znałem świat, w którym się obracał, ludzi, zdarzenia, jego lektury, teatr, może nie znałem jego epoki – mimo naszego metrykalnego podobieństwa moi Rodzice są znacznie młodszy niż Rodzice Piotra i wywodzą się z innych środowisk, a On często i mimowolnie wracał do przeszłości, którą znałem z mglistych wspomnień dzieciństwa i opowiadań formułowanych z zupełnie innej perspektywy. A może wpadałem w jakieś koleiny stereotypów, kiedy już dochodziło do rozmowy. Trochę się to zmieniło, gdy przed laty odkryłem pisarstwo Jerzego Stempowskiego i jego przedwojenne, warszawskie środowisko – ale tylko trochę.

Piotra poznawałem stopniowo, sam mówił rzadko, więc czytałem tom zatytułowany *Myszoser*, który mi podarował na początku naszej znajomości, tak długo i tak uważnie, aż wydawać mi się zaczęło, że rozumiem źródła pojawiających się fraz, poprawnie odczytuję imiona i role nienazwanych postaci i opisy ukrytych za słowami zdarzeń; wiem, którymi chodzą ulicami, o których budynkach pisze; wiem, dlaczego Podkowa i Praga, sprzedany dom i skrzywienie desek podłogi, obce mieszkania, głosy sąsiadów, skąd ci ludzie, kolejka WKD, skąd bary i ból. Czasem coś rzucił mimochodem, co potwierdzało moje intuicje. Tak poznawałem wówczas Piotra, długo starając się zrozumieć jego wybory. Później tak samo zaglądałem do kolejnych tomów: do *Pustosza*, *W oku kuku*, *Domu pod świadomością*. Najbardziej przywiązałem się do *Myszosera*.

Dostałem od Niego chyba wszystkie książki, które kolejno wydawał. Dwie ostatnie są dla mnie szczególnie ważne. Jedna zarazem Piotra i nie-Piotra: Jan Szela, czyli Zbigniew Mitzner, *Felieton o mojej Warszawie* (2014), gruby tom szkiców związanych ze stolicą,

pisanych od lat trzydziestych aż do śmierci Autora w 1968 roku. PRL to czas dzieciństwa i młodości mojego pokolenia i choć z felietonów, zwłaszcza z lat pięćdziesiątych, bije optymizm nowego porządku i zainteresowania każdym osiągnięciem ludowej Ojczyzny, a krytycyzm nie ujawnia nawet drobnej części dramatyzmu indywidualnych losów, dzisiaj z wielką przyjemnością odnajduje się w nich znaną atmosferę, identyfikuje miejsca, zdarzenia. W późniejszych szkicach, z kolejnej dekady, Mitzner-Ojciec jest znacznie prawdziwszy, surowszy, krytyczny. Jego ówczesne pisarstwo znacznie lepiej odpowiada mojej pamięci: postrzelanych murów jednorodzinnych domów Mokotowa i wypalonych kamienic Śródmieścia, ciemnych i czasem niebezpiecznych uliczek Komorowa, osiągnięć i absurdów komunistycznego świata z całą jego groteskowością, cynizmem i beznadzieją. Tom świetnie przygotowany edytorsko, opatrzony stosownymi komentarzami i fotografiami przez Mitznera-Syna, może być wzorem filologicznej pracy. To był bardzo dobry prezent. Dziękuję.

Druga ukazała się dopiero co (Kraków 2014), w serii o prowokującym tytule: „Granice wyobraźni” i pod tytułem własnym, z jakąś niesłychaną adekwatnością oddającym zawartość tomu: *Jak znalazł* (choć pamiętamy o stosownej rubryce w „Zeszytach Literackich”). Teksty krótkie i długie, osiemdziesiąt notatek, szkiców, recenzji, wspomnień, artykułów, z których tylko kilka ma powyżej dwudziestu stron, pozostałe liczą zaledwie po kilka kartek, czasem półtorej strony, dwie, trzy. Choć tak różne, są świetnie skomponowane, stanowią w pisarstwie Piotra Mitznera właściwie osobny gatunek, mimo że trudno tu mówić o jednorodności obejmującej bez reszty wszystkie utwory. Zwarta narracja, gęsta od historycznych i literackich szczegółów, tematycznie różnorodna, bardzo często zwrócona ku konkretnym osobom, zostaje sprzęgnięta w całość przede wszystkim przez sytuację przypomnienia, odnalezienia notatki, wygrzebania zapisków, lektury kart odkrytych „w archiwum Ojca”, niewielkiej recenzji teatralnej czy luźnych uwag naszkicowanych po spektaklu, zapisu korespondencji, powrotu do książki lub wiersza czytanego przed laty. Jeśli mówi się czasem o pisaniu do szuflady, tu mamy do czynienia z porządkiem notatek gromadzonych przez dziesięciolecia w szufladzie, powstających z tej czy innej okazji, tekstów dojrzewających długo do publikacji lub rzuconych na bieżąco jak niezobowiązująca na pozór impresja. Wiele z nich było już publikowanych na łamach takich pism, jak „Karta”, „Dialog”, „Colloquia Litteraria”, „Zeszyty Literackie”, „Podkowiński Magazyn Kulturalny”.

Rozpoczynamy czytanie... *Pochwała Erazma* jest notatką z lektury. *Sztuka improwizacji* – notatką o zjawisku, *Wizyta w krypcie* – notatką z etapu pewnej podróży, *Żywy cmentarz* – notatką o powrotach na wiejskie i małomiasteczkowe cmentarze... Mitzner wędruje z piórem w rękę (choć to pewnie długopis). Notuje, sprawdza w bibliotekach, kupuje książki, odnajduje je na półkach, wygrzebuje z pamięci i z różnych zbiorów listy Józefa Ignacego Kraszewskiego, wspomnienia kontaktów z miejscami związanymi z Gałczyńskim, Falkowskim, Iwaszkiewiczem, Giedroyciem, Gorbaniewską, spisuje także współczesne uliczne napisy, które brzmią niewiele lepiej (a może gorzej?) niż te, które spisywał Mitzner-Ojciec. Późniejsze szkice są bardziej aktualne w tym sensie, iż odnoszą się

do współpracy Autora z uchodźcami osadzonymi w okolicach Komorowa, jego działalności redaktorskiej, korespondencji z Giedroyciem czy wspólnych zadań podejmowanych z Natalią Gorbaniewską.

Granice „świata przedstawionego” są szerokie, ale nie obejmują wszystkiego. Miejsca to: Komorów, Milanówek, Stawisko, Warszawa i odbywane podróże. Inteligenckie tradycje międzywojnia, ich wojenne i powojenne kontynuacje – rodzinne i środowiskowe; najważniejsi są Ojciec, Matka, Babcia – poszerzają ten świat o ogromne połacie dawnej Rosji i Związku Radzieckiego, Kijów, Paryż, polskie Wilno i Warszawę. I środowiska już na wskroś własne, nowe: „Kultura”, „Memoriał”, „Nowaja Polska”.

Mitzner wędruje przede wszystkim po literackich przestrzeniach. Czytanie jest jedną z najważniejszych czynności, powtarzających się wielokrotnie w książce, niemal w każdym szkicu: lektury dziewiętnastowieczne – dawno zapomnianych pisarzy, biografów i gawędziarzy; lektury starych papierów, prywatnych archiwów, zapisków; lektury prowadzone w bibliotekach i w domu, lektury odnalezionych papierów po Jerzym Falkowskim, brudnych, poplamionych, przesiąkniętych papierosowym dymem pojedynczych kartek i całych zespołów archiwaliów; wreszcie lektury książek współczesnych: nowo wydanych (wówczas) dzienników Stefana Wyszyńskiego i wielu innych. Niezwykłe historie, drzemiące już tylko w tomach przechowywanych w bibliotekach lub stojących na półce w domu Autora – jak próba zbudowania na Morzu Czarnym powstańczej floty, składającej się z jednego małego parowca. I rosyjskie postacie – pisarzy, późniejszych dysydentów, zwolenników i przeciwników bolszewickiej władzy, uwikłanych w sprzeczności, z których niemal ontologicznie wyjścia nie ma i nie będzie. I duchowni, których napotkał przy różnych okazjach, jak Leon Kantorski, podkowieński proboszcz, a także ludzie z Lasek.

Spójność różnotematycznym obrazom zapewnia także rys swoistego autobiografizmu, obecnego w *Jak znalazł* niemal zawsze, nawet jeśli mowa o większych szkicach o charakterze biograficznym, dotyczących osób innych, w tym także dziewiętnastowiecznych postaci, jak na przykład Amelia Żaluska (światny tekst, opublikowany w 2005 roku w tomie zbiorowym poświęconym Zygmuntowi Krasińskiemu) – to Mitzner wyszukuje i notuje, odnajduje wspomnienia, przyjeżdża do lipcowego Krosna, wędruje na cmentarz w xxx, trafia na wiejskie lapidaria w O. czy w K. Jak malarz goszczący u Biełokurowa w Czechowowskim opowiadaniu (*Дом с мезонином*), trafiający przypadkiem do sąsiedniej posiadłości, czy bohater Turgieniewa, włóczęga się ze strzelbą po majątkach przyjaciół ziemian od rosyjskich równin po polsko-białoruskie Polesie. Nadaje to tomowi walor sumowania, scalania przedstawianych sytuacji. Ów autobiografizm jest tu świadomie wprowadzoną klamrą kompozycyjną, mocnym akcentem, podporządkowującym wszystkie już bez wyjątku szkice – od kilku wstępnych uwag po obszerny tekst poświęcony Rodzicom, tradycjom domowym, własnym losom i niezwykłemu zadaniu, jakim było redagowanie i publikowanie prac Ojca i Matki.

Jest jeszcze jeden ważny rys, łączący ową literackość z wątkami autobiograficznymi – to aktualizacja, świadcząca o swoistym przeżyciu tego, co stanowi materię szkicu. Aktualna jest sprawa Falkowskiego, aktualny jest Zdziechowski, Iwaszkiewicz i losy czecheńskiej

kultury, wszystko jest „na czasie”, ponieważ wiąże się ze stosunkiem opowiadającego do tematu, odnosi się do naszej współczesności – jakże moglibyśmy zapomnieć o jubileuszu Kraszewskiego lub o uchodźcach czeczeńskich bądź Ormianach z Górnego Karabachu, czekających w Polsce na prawo stałego pobytu? Jest tu i, paradoksalnie, rys społeczno zaangażowania: nie można obojętnie przejść wobec spraw ogólnie ważnych, dokonać, pamięci o osobach i zdarzeniach, ludziach żywych, potrzebujących dziś naszej pomocy, ale i rocznic, ich społecznej recepcji – a te są pochodną naszej świadomości, ją zaś kształtują lektury i ludzie. Paradoksalny – bo zderzony z najgłębszym indywidualizmem Mitznera, unikającego jak zarazy wszelkiego patosu i wszelkiej oficjalności. I ten rys zaangażowania, widoczny tak doskonale (przy zachowaniu stosownych proporcji) w warszawskich felietonach Jana Szeląga, powraca tutaj od czasu do czasu w krystalicznej niemal postaci, uwiarygodniony przez bezradność wobec nieuchronnego odchodzenia kulturowej formacji, naznaczonej swoistym arystokratyzmem intelektu powiązany z społeczną troską, żyjącej literaturą i pozostawiającej po sobie zapisać ślad, a dzięki rosyjskiej i peerelowskiej hibernacji wielkiej, dawnej kultury Zachodu – tak długo obecnej w świadomości zbiorowej, w naszej świadomości.



Piotr Mitzner